



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Jazda na północy.

JAZDA NA PÓLNOCY.

Narzekamy na ciężką i długą zimę tegoroczną, a jednak czemże jest nasza zima w porównaniu do téj, którą znosić muszą mieszkańcy dalekich, podbiegunowych okolic. Tam lata prawie niema, lody puszczają na krótko i niezupełnie, klimat przez cały rok jest tak ostry, że ani nasze konie, ani bydło rogato wyżyćby tam nie mogło, nietylko z powodu chłodu lecz także i dla braku wszelkiej paszy. Na szczęście mieszkańcy tych stref wydiedziczonych mają tam poczciwe zwierzę, które im zastępuje i konie, i krowy, żywi się mchem z pod śniegu wyskubanym, wozi sanki po drogach niedostępnych, dostarcza mięsa i mleka. Każdy już odgadł, że mamy na myśli renifery, przedstawione na rysunku.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieczona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

Przełożył z angielskiego

HENRYK WERNIC.

(Dokończenie).

Nieszczęsna matka przyjęła tę wiadomość z zupełnym poddaniem się woli Bożej; nie szemrała, nie wyrzekała, dziękowała nawet sąsiadkom, że prawdy przed nią nie ukrywały. Błagała tylko Wszechmocnego, aby zwłoki jej dzieci zostały znalezione, aby mogła je pochować po chrześcijańsku. Wszystko też teraz przygotowywała do pogrzebu. Zajął się uporządkowaniem małej izby, w której sypiali, położyła czystą bieliznę na łóżkach, aby było gdzie złożyć martwe ich zwłoki. Z komody wyjęła podarunki, jakie chciała im ofiarować na kolendę. Dary te były bardzo skromne. Kilka tanich zabawek, parę książek, kilka ciasteczek i parę upominków, robionych na drutach, które własnymi wykonywała rękami podczas kiedy dzieci jej spały. Podarunki te miała ofiarować chłopcom dzisiaj, w dzień Bożego Narodzenia... a oni!

Nie uroniła dotąd ani jednej łzy od owęj strasznej chwili, w której rozległ się huk, zwiastujący zapadnięcie kopalni. Teraz na widok tych skromnych, prostaczych podarunków kolendowych, jakoś dziwnie zrobiło jej się na sercu, łzy strumieniem puściły się z jej oczu, długo rzewnie płakała, a w tym płaczu wielką znalazła ulgę.

Wtem nagle ktoś gwałtownie zakolała do drzwi, które nie zamknięte na klucz, pod naciskiem same się otworzyły. Jerzy wpadł zadyszany do izby. W oczach jego promieniała nieopisana radość, a na poczerwiałej twarzy widoczne były jeszcze bruzdy świadczące o łzach.

Na jego widok matka Taylor powstała z krzesła i zawołała;

— Jerzy! — nadzieja zabłysła w jej sercu.

— Znaleziono ich — zawołał Jerzy z wielkim wysileniem.

— Czy żywych? czy... — nie skończyła pytania, zamarło ono na jej ustach. Wszystko koło niej się kręciło; chwyciła za poręcz krzesła, żeby nie upaść.

— Żywych! — zakrzyknął młody górnik — omdlałych, lecz przychodzących do przytomności.

Wzruszenie nieszczęśliwej kobiety było tak wielkie, że nogi pod nią się zachwiały i już upaść miała, kiedy Jerzy podbiegł ku niej, pochwyił silnymi rękami i posadził na krześle. Pomocna wiadomość wywołała taką zmianę jej

uczucia, sprawiła tak wielką i nieopisaną radość, że na razie przenieść jej nie była zdolna. To, co Jerzy jej zwiastował, było istotną prawdą.

Kiedy górnicy, pracujący w podziemiu, usłyszeli znak dany przez Tomasza, zaczęli z podwójną, jeśli to być może, pracować gorliwością, a po całonocnej nadludzkiej pracy, włamali się do miejsca, gdzie byli dwaj bracia. Znaleźli ich leżących bez przytomności, ale żywych. Udzielono im natychmiast pomocy lekarskiej, a chociaż przez pewien czas nie można było docucić się Benjamina, to wszakże przyszedł on do siebie i wkrótce nie było już żadnej wątpliwości, że żyć będzie.

W tryumfalnym pochodzie wyniesiono z kopalni na wpół jeszcze nieprzytomnych chłopców. Wielu ludzi biegło naprzód, wołając:

— Znaleziono ich, znalezione! — drudzy dodawali — żyją! żyją!

Kobiety, widząc około swych domów przechodzący orszak, z czułością całowały swe dzieci; mężczyźni w milczeniu ściskali się za ręce, głębokie wzruszenie mówić im nie pozwalało. Całe miasteczko żywą wdzięczność okazywało górnikom za ocalenie życia synom biednej wdowy.

W kilkanaście dni później znaleziono w tej samej kopalni zwłoki nieszczęśliwego Jakóba Reunie, który, gdyby był lepiej wychowany, mógłby się stać bardzo pożytecznym członkiem społeczeństwa, a tak zginął marnie, bez pożytku dla siebie i swoich bliźnich. Pogrzebowi jego towarzyszyło liczne grono górników.

Znacznie dopiero później, kiedy Tomasz i Benjamin odzyskali zdrowie, dowiedziano się o całym bohaterским poświęceniu tego człowieka, któremu ci chłopcy zawdzięczali zachowanie swego życia.

Tomasz pod troskliwą opieką swęj matki wkrótce zupełnie wyzdrowiał, Benjamin bardzo pomалу odzyskiwał dawne swe siły. Nieszczęście w kopalni silniej dotknęło jego fizyczny organizm. Bardzo często miewał przykre sny, zrywał się w nocy z łóżka, wołając „kopalnia się wali!” Dopiero w Kwietniu, kiedy świeży wietrzyk wionął w dolinie Wyoming, zaczął o własnej sile opuszczać fotel, na którym przedsiadywał godzinami; a kiedy w Czerwcu rozkwitły róże, odbył pierwszą przechadzkę po okolicy,

Już oddawna matka Taylor oczekiwała zupełnego wyzdrowienia Benjamina, aby go odwieźć do Filadelfii, gdzie miano mu zdjąć kataraktę, zasłaniającą wzrok jego. Wypytywała się wszystkich znajomych o to, czego potrzeba przy odbywaniu tej trudnej operacji. Wreszcie w parę dni po pierwszej jego przechadzce, przygotowawszy wszystko do podróży, oznajmiła ociemniałemu chłopcu, że zawiezie go do zakładu leczniczego. Na tę wiadomość radość nieopisana ogarnęła serce Benjamina, wierzył bowiem mocno, że zasłona od tak dawna zakrywająca wzrok jego usuniętą wreszcie zostanie; że znów urzy ten piękny świat, i słońce, i tych dobrych ludzi, a przedewszystkiem ukochaną swą matkę i drogiego brata. Radość jego w zupełności podzielał brat jego Tomasz, ale serce matki trapił wewnętrzny niepokój, bo wiedziała, że nie każda, choćby najzręczniejszymi rękami odbyta operacja, w zupełności się udaje. Z bijącym więc sercem postępowali wszyscy troje do stacyi kolei prowadzącej do Filadelfii. Cóż byłby dał za to Tomasz, gdyby wolno mu było towarzyszyć bratu, ale obowiązek jego na to nie pozwalał.

Kiedy ruszył pociąg, wiozący Benjamina z matką, Tomasz stał jeszcze długo, powiewając chustką, wreszcie samotny ale pełen radosnej otuchy powrócił do domu.

Przybywszy do Filadelfii, matka pomieściła Benjamina w zakładzie, a sama postanowiła zamieszkać w małym hotelu, aby codziennie widzieć swego syna. Wszakże lekarze na to nie pozwolili, radzili oni jej powrócić do domu i tam oczekiwać jego wyzdrowienia, twierdzili, że po dokonaniu operacji chory przez długi czas powinien unikać wszelkich wzruszeń, te bowiem najszkodliwiej mogłyby wpłynąć na jego wyzdrowienie. Powróciła tedy dobra matka do Dry-

den, błagając codziennie gorąco Pana zastępów o wyleczenie syna.

W kilka dni po odejździe matki przystąpiono do zdjęcia katarakty. Operacja była niedługa i ku wielkiej radości wszystkich szczęśliwie się powiodła. Wszakże najbardziej przykry czas nastąpił dla biednego Benjamina po jej dokonaniu. Musiał on przez dwa tygodnie leżeć na wznak; nie wolno mu było poruszyć się pod karą zepsucia skutków operacji. Jakaż była jego radość, kiedy po upływie oznaczonego terminu lekarze pozwolili mu siedzieć w ciemnym pokoju, do którego słabe tylko światło przez szpary w okiennicach dochodziło. Rozeznawał on przy niem już wyraźnie ogólne zarysy sprzętów, znajdujących się w pokoju, oraz postać lekarza i innych ludzi. Znow po upływie dwóch tygodni powiększono ilość światła, aż wreszcie pozwolono mu siedzieć w zupełnie jasnym pokoju. Odróżnienie odległości przedmiotów sprawiło mu z początku pewną trudność; częstokroć bliższe sprzęty brał za odleglejsze i na odwrot, lecz pomału zaczął widzieć zupełnie prawidłowo i wreszcie tak widział, jak wszyscy ludzie, posiadający zdrowe oczy. Odtąd rozpoczęło się dla Benjamina nowe życie, życie pełne radości i wesela.

Kiedy mu lekarze oznajmili, że może już opuścić zakład, udał się sam bez niczyjej pomocy na stacyą kolei żelaznej, wiodącej w kierunku osady Dryden. Pełen wesołości i fantazyi, spoglądał naokoło siebie szeroko roztwartemi oczami; wszystko go zachwycało, nic nie uszło jego uwagi. Rozmawiał z każdym, do każdego mile się uśmiechał i ustawicznie o wszystko się zapytywał.

Działo się to pod koniec lata. Z radością spoglądał na zielone łąki, pola pokryte dojrzewającym zbozem. Znać już było zbliżającą się jesień, na drzewach tu i owdzie widać było zwieszające się żółte liście, a drzewa owocowe pokryte były czerwienią gruszek i jabłek, wabiącemi do siebie. Wzdłuż kolei snuły się jak wstęgi bystro płynące niewielkie rzeki, które, odbijając w sobie promienie słońca, ożywiały cały krajobraz. Wszystko dla niego zupełną było nowością. Nigdy nie przypuszczał, iżby pagórki, po których nieraz stapał, były tak wysokie.

— Jakież to piękne -- powtarzał ciągle, kiedy coraz nowe widoki przesuwały się przed jego oczami.

Pod wieczór pociąg stanął w Wilkesbarre; nie mógł więc dokładnie przyjrzeć się temu miastu, ale zachwycił się migotaniem tysiąca świateł.

Tomasz przybył na stacyą na jego spotkanie. Dobry, poczciwy Tomasz! Jakże się uradował, kiedy Benjamin, powodowany jakoby instynktem, zbliżył się do niego, a wymówiłszy jego imię, rzucił mu się na szyję i serdecznie go uściskał.

— Ach! jaki ty ładny chłopiec — rzekł po chwili Benjamin do Tomasza, — nigdy sobie nie wyobrażałem, żebyś był taki urodziwy i tak wysoki — poczem zapytał. — Jakże matka nasza wygląda?

Ale Tomasz nie dał mu odpowiedzi, powiadając, że bardzo trudno mu ją opisać. Wtedy Benjamin wskazywał na obecne tam kobiety, zapytując, czy która z nich nie jest podobna do jego matki i dodał:

— Ach! cóżbym dał za to, gdybym mógł być już w domu.

Tomasz przerwał jego dumania, zapytując się z kolei o wszystko, co zaszło podczas operacji; ale nie było na to czasu, gdyż oprócz Tomasza znalazło się na stacyi wiele osób, które poprzednio znały ociemniałego chłopca a teraz ujrawszy go zbliżyło się do niego, serdeczną wyrażając radość z jego wyleczenia. Dobrzy ludzie! jedni śmieli się z radości, drudzy z tej samej przyczyny płakali.

Wreszcie Tomasz z Benjaminem, wzięwszy się pod ręce, tak jak to poprzednio bywało, udali się śpiesznym krokiem do domu, gdzie na nich oczekiwała matka. Siedziała ona na krześle tak samo, jak podczas owej strasznej nocy grudniowej, kiedy usłyszała huk, a domek jej lekkim uległ wstrząśnieniu. Dziś za to usłyszała lekkie stąpanie ukocha-

nych swych chłopców po ścieżce, wiodącej do jej mieszkania i ich wesołą rozmowę. Po chwili Benjamin leżał w jej objęciach. Dziwna rzecz, wyrzekł też same wyrazy, jakie powiedział w owej strasznej godzinie, kiedy anioł śmierci unosił się nad jego głową:

— Ach, mamó! jakże szczęśliwy jest ten, kto widzi.

Pilica, Smoleń i Ogrodzieniec.

przez Stanisława z Warszawy.

(Dokończenie).

Trzeci, wspomniany już kilkakrotnie, kościółek Św. Piotra i Pawła leży poza miastem, na wysokim górze, otoczony wiankiem drzew, według tradycyi, postawiony był o wiele wcześniej, niż kościółek Św. Wojciecha w Krakowie. Kiedy ściany modrzewiowe próchnieć zaczęły, w 1575 r. w miejsce chylącego się kościoła Św. Piotra i Pawła postawiono nowy, w którym dotychczas kilka razy do roku odbywa się nabożeństwo.

Książę Jerzy Zbaraski krótko rządził odziedziczoną majątnością Pilicką, są jednak do dziś dnia szlachetne ślady jego tu bytności. Kazał on w 1630 r. wystawić murowany kościółek Św. Jerzego i przy nim szpital dla 12 starców, ubogich rolników z dóbr Pilickich, zapisując dla nich i dla proboszcza przy tym szpitalu wieś Gebło. Dziś mieści się w tym szpitaliku z jednej strony 12 mężczyzn, a z drugiej 12 kobiet starych i schorowanych, lecz stałego kapelana nie mają, tylko z pobliskiej wsi dojeżdża kilka razy na tydzień ksiądz dla odprawienia Mszy św. w małej i ubogiej kapliczce, tam umieszczonej, w której zwraca na siebie uwagę portret jednego z proboszczów tutejszych, a pod nim napis, że żył on przy tym kościele lat 100, a umarł mając lat 125, na zapytanie zaś, co robił, że tak długo żyje, odpowiadał, że w ciągu całego życia wystrzegał się 3-ch rzeczy: pijaństwa, rozpusty i gniewu. Liczba kościołów w Pilicy nasuwa na myśl dwa wnioski: 1-e, że liczba wiernych musiała być dawniej o wiele większą i 2-e że ofiarność przodków naszych, łożących chętnie koszta na powiększenie chwały Bożej, nie da się pod żadnym względem porównać z dzisiejszym egoizmem i obojętnością!.. O milę od Pilicy, na najwyższej z gór Strzegowskich sterczy niebotyczna skała, a na niej dobrane jeszcze zachowana baszta wysoko strzela w niebo. Widne zdala, otoczone zieloną drzew koroną ruiny zamku Smoleńskiego, zwracają na siebie uwagę każdego podróżnego. Ciekawy wędrowiec wspina się na wysoką skałę, śledzi każdy załom muru, u stóp wieży zapuszcza wzrok w obszerne widnokregi, na szarzące w dali zwaliska zamku w Ogrodziencu, nasuwa mu się wtedy na pamięć rzewne ludowe podanie o dwóch braciach, zamieszkujących zamki w Smoleniu i Ogrodziencu, którzy zapomocą znaków z wież dawanych porozumiewali się ze sobą. Z wieży tej w dzień pogodny widać nawet Karpaty.

Zamek ten, położony w obrębie dóbr Smolenia i Złoteńca, jest jednym z najdawniejszych tego rodzaju zabytków w Polsce. Kto go założył i kiedy — milczą dzieje. Pierwszą o nim wzmiankę podaje Długosz. Zdaje się jednak, że około XII w. założył go któryś z przemożnej wówczas rodziny Sieciechów Toporów, aby mieć blisko Krakowa siedlisko i obronną warownię przeciwko napadom Szlazaków, Czechów i Morawian. Dzieje zamku na Smoleniu ściśle łączą się z dziejami miasta Pilicy i zamku tamże o wiele później wystawionego, jakośmy to już przedtem opisali. Wspólne też i klęski dotykały obie miejscowości i tak w 1241 r. napad Tatarów, w 1297 r. zdobycie go przez Wacława Czeskiego i wreszcie w 1656 r. pogorzel zamku w czasie najścia Szwedów. Odtąd zamek nieznacznie zaczął upadać, do zupełnej zaś jego ruiny

przyczyniło się wreszcie stawianie w Smoleniu w 1797 r. komory granicznej, rozbierano bowiem wtedy odwieczne mury zamku, ażeby dostarczyć materiału do nowej budowy, której teraz niema już ani śladu, a ruiny zamku urągają wciąż burzom i wichrom, które ich do szczytu zmódrz nie mogą. Brama na wschodniej części ze ścianą od południa ma najmniej mury nadwężone: na zachodniej stronie znać o wiele większe zniszczenie od ręki czasu i ludzi. Tu się znajduje studnia w kamieniu kuta, należąca do bardzo rzadkich zabytków starodawnych. Zasypaną ona już jest oddawna w znacznej części. Ileż to rąk i przez jaki czas wykuwało ten twardy granit, aby dostać się do źródła wody, koniecznej na tym niedostępnym cyplu. Nie robotnicy to zapewne najeży, lecz jeńcy tatarscy i tureccy całe swoje życie strawili w kamiennym dole, zapuszczając się coraz niżej, aż wreszcie... może już w drugim lub w trzecim pokoleniu, posłyszeli tak długo oczekiwany szum wody! Na początku naszego wieku praktycznego umiano skorzystać i z tej zasypanej studni, gdyż zakrywano otwór gałęzmi i lano na nie roztopiony ołów, który spadając na dół, zaokrąglął się i spadał w kształcie foremnych kulek. Zamiast wody dobywano kule!.. W naszych zaś już czasach studnia Smoleńska stała się widownią przygody romantycznej, zakończoną niestety! śmiercią dziewczęcia, które nie chcąc przeżyć odmowy opiekunów na związek jej z wybranym serca, rzuciło się dwukrotnie w rozwartą 80 łokciową przepaść studniową, i za drugim razem skutecznie... Wydobyto zaledwie poszarpane jej zwłoki.

Wśród niższych od wschodu i zachodu murów sterczy wysoka skała prostopadła, na jej zwężonym wierzchu usadowiła się baszta, a obok niej okrągła wieża o kilkanaście jeszcze łokci wyższa: śnać kiedyś spuszczano do niej więźniów i jeńców, gdyż niema ani okienka żadnego, ani drzwi, tylko widać niedawno zrobiony u podstawy niski otwór: kto się tam raz dostał nie oglądał długo, albo nawet nigdy światła dziennego, jedyną roznoistość stanowiło spuszczenie na linie dzienną porcyi chleba i wody. Miejsce to, niedostępne ze wszech stron, stanowiło ostatnie schronienie dla zwalczonych, tylko od głównego mieszkania było skryte przejście po murze. Teraz nie budują podobnych zamków obronnych, bo czyżby się ostały w obec kikunasto-pudowych pocisków Krupa?... możliwe i pożyteczne one były w czasach, kiedy nie znano dalekonośnych armat, kiedy żelazo ścierało się z żelazem, siła walczyła ze zręcznością. Zdobycie podobnie niedostępnego zamku jak Smoleń staowało się niemożliwe, chyba przez ogłodzenie obłożonych, brak wody... albo zdradę jakiego Efiatesa!

Na drodze z Pilicy do Zawiercia tuż przy szosie widnieją olbrzymie ruiny zamku Ogrodzienieckiego, trzeciego już w tej okolicy. Przechodzą one jednak swoim ogromem i fantastycznymi kształtami wszystko, co w tym rodzaju widzieć można. Na niewielkiem wzgórzu rozbiegły się w koło pojedyncze skały, pośrodku nich jakiś pan możny zamyślił zbudować sobie zamek, nie zrażał go żadne trudności, ani suma wydatków, nie chciał, aby jedna nawet skała była usunięta ze swego odwiecznego miejsca, budowniczo wie i architekci musieli do położenia tych skał stosować swoje plany. Woli pana stało się zadość, stanął gmach, istna praca tytanów! cegły, wapno i jednolite opoki, tu i owdzie z murów wystające, połączyły się w jedną całość, zawarły ze sobą wieczne przymierze. Niewiadomo, co więcej podziwiać, czy fantazyą pana, czy wytrwałości architektów!

Od zachodu nieco ku północy był główny wjazd do zamku, brama ta, doskonale jeszcze zachowana, ma na górze wmurowaną tablicę marmurową z herbem Bonarów ze złoconym niegdyś napisem „Severinus Bonar de Balicze, in Ogrodzieniecz, Ojców, Kamenecz Zupparius, Burgrabius et Magnus Procurator Cracoviensis, Biencensis, Zchoviensis, Rabstinensis, Capitaneus a fundamentis erecti.” Czas podróżska tablicę, starł pozłotę i powydłubywał niektóre litery. Przed bramą jest jeszcze obszerny dziedziniec do 10 morgów powierzchni mający, od skały do skały murem obwiedziony,

który przetrwał aż dotychczas, od 10 do 15 łokci wysoki. Wchodząc bramą na podwórkę, widać w około wystające dwupiętrowe mury, poszczerbione już bardzo; dalej przez roztrzaskany otwór jest wejście na drugi dziedziniec, dobrze zachowany. Ogromny ten gmach mieści w sobie prócz tego kryte w fundamentach baterye, studnię w skale kutą, lecz zasypaną, dwie wysmukłe, okrągłe baszty, jeszcze prawie zupełnie całe i trzecią znacznie niższą czworograną: inne ręką czasu obalone, prócz tego całe stopy cegieł, kamieni i rumowisk.

Pierwszy ślad o Ogrodzieńcu mamy w kronice Długosza, który pod r. 1385 wspomina o Włodku z Ogrodzieńca, podczaszym krakowskim. Znanem jest również w historii imię Bartosza Włodka, który w 1454 r. pod Chojnicami został przez Krzyżaków do niewoli pojmany: on to, może dla opłacenia znacznego za siebie okupu, sprzedał Ogrodzieniec Ibramowi i Piotrowi Salomonowiczom, mieszczanom krakowskim; od nich niewiadomo w jakim czasie przeszły te dobra do rodziny Leliwczyków Pileckich, a wreszcie znowu do Włodków. Jan Bonar, burgrabia i żupnik krak. nabył od Włodków tę majątność, a syn jego Seweryn wybudował zamek, dziś w ruinach stojący, jak o tem przekonywa wspomniany napis nad bramą. Ten również Seweryn Bonar, starosta biecki i kasztelan sandedki, otrzymał od cesarza Ferdynanda I tytuł barona na Ogrodzieńcu. Epoka budowania zamku przypada między śmiercią Jana Bonara i jego syna t. j. między r. 1523 a 1540. Następnie Ogrodzieniec z przyległymi dobrami oddziedziczył Jan Firléj, marsz. w. k. pojawiający za żonę Zofią Bonarównę. Poczem w 1655 r. po bezpotomnie zmarłym Firleju Ogrodzieniec przechodzi wraz z Teresą wdową z Warszewickich w dom tych ostatnich. Stan. Warszewicki podpisuje się jako dziedzic na Pilicy i Ogrodzieńcu. Wspominany już dwukrotnie napad Szwedów dotknął również i Ogrodzieniec, kiedy ustąpili Szwedzi przez pół wieku zamieszkiwała tu można rodzina Męcińskich. St. August, przychylając się do prośby następnego dziedzica Tom. Jaklińskiego podsądka ziem. krak., nadaje w 1784 r. miastu 12 jarmarków. W trzy lata później koszem Józefa Jaklińskiego stanął kościół mурowany pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego. Zamek zaczął pustoszeć, a za następców Miroszewskich przestał być zupełnie mieszkalnym, i powoli doszedł do obecnego opustoszenia i zniszczenia.

Przypatrując się tym ruinom zamków w Smoleniu i Ogrodzieńcu, przychodzi na myśl, czy ich założyciele się spodziewali, aby te warowne kamienne gniazda wyszły tak prędko z ręki ich rodu? aby zburzone zostały nie ręką nieprzyjaciół, ani pod kul gradem, lecz przez niedbalstwo późniejszych właścicieli, którzy nie umieli albo nie chcieli podtrzymać tych zabytków lepszéj przeszłości...

Lecz za to wokoło powstały nowe fabryki, przedziałnie, huty, piece wapienne; czarne ich długie kominy wyrzucają z siebie snopy iskier i dymu pasma, urągają się jakoby martwym poszczerbionym murom... ha! trudno... „tempora mutantur, et nos mutamur in illis.”

BIEDNY PTASZEK.

Czy widzisz, mój synku, tę klatkę złoconą?
Tak piękną, wygodną! w niej wody miseczka
I z puchu posłanie, i zboża ziarneczka
Dla ptaszka.

Niedawno to było, gdy do niej wpuszczono ptaszynkę,
Wydarto ją z gniazdzka, lecz była tak mała,
Ze chociaż z sił całych skrzydełkiem trzepała,
Podlecieć nie mogła! nie uszła pogoni;
A chłopiec okrutny już trzymał ją w dłoni
I biedną ptaszynką obdarzył dziewczynkę!
Dla niego z gniazdeczka wziąć pisklę, rzecz mała,
Igraszka!



Biedny ptaszek.

Z początku ptaszęciu, choć fruwać nie umie,
Za ciasno w więzieniu, chce wlecieć stęskniona
I główkę rozbija o pręty złoczone

W swój klatce!

Znać gniazdko pamięta, i kochać snąć umie,
Lecz trwało to krótko, bo główką tłuc boli
I ptaszek malutki zapomniał powoli
O własnym gniazdeczku daleko tam w gaju,
O braciach rówiesnych, szemrzącym ruczaju,

O matce!

A teraz, choć słonko go wabi do siebie,
On z klatki dzień cały wygląda dziewczynki,
Co zawsze dla niego ma cukier, rodzynki

W swój ręce.

I dziobek wyciąga do ślicznej panienci,
I gotów dzień cały snuć dla niej piosenki
W podzięce.

Oj biedny ten ptaszek, mój synku ty mały,
Choć wesół, niegłodny i klatkę ma złotą.
Ach biedny, że serce mu nie drży tęsknotą,
Za dawno mu dźwięki rodzinne przebrzmiały,
Wspomnienia radości, wspomnienia niedoli,
Ze dobrze mu w klatce i nic go nie boli...

Oj biedny ten ptaszek!

Gabryela Jasińska.

KLOTYLDA.

KOMEDYJKA W 4-CH OBRAZACH

przez

Ignacego Poraja.

OSOBY.

HRABINA.

KLOTYLDA, jęj córka.

JADWIGA przyjaciółka Klotyldy.

WŁADYSŁAW brat Klotyldy.

WILHELM URWISOWICZ rządca dóbr Klotyldy.

MORDKA AITMAN.

KOMORNIK JAKAJŁO.

KLEOFAS DRATEWKA szewc.

FRANUŚ syn Kleofasa.

JAKÓB lokaj.

JOASIA panna służąca.

(Rzecz dzieje się w pierwszej odsłonie w Warszawie.— W drugiej odsłonie o 20 lat później w dobrach Matroszany, w trzeciej odsłonie jeszcze o 20 lat później w Warszawie, i zakończenie w Warszawie, przy Zielonym Placu).

Obraz I.

(Gabinet hrabiny, w którym w głębi nad kłęcznikiem obraz Matki Boskiej).

SCENA I.

JAKÓB, JOASIA.

(Jakób wbiega z jednej strony z kawą, a Joasia z drugiej i bierze od Jakóba kawę. Za sceną słyhać mocne dzwonięcie).

JOASIA.

Tak długo guzdrzenie się z kawą, a panienska ze złości ledwie ze skóry nie wyskoczy.

JAKÓB.

Przecież dla starszych musiałem kawę roznosić.

JOASIA.

Gadaj jęj o starszych, to cię kułakiem poczęstuje *(słyhać znowu dzwonięcie za sceną).*

JOASIA *(woła).*

Już idę! idę... a to skaranie Boże...

(wybiega).

SCENA II.

JAKÓB *(sam).*

Z naszą panienką to nie żarty, młode to, bo młode, ale i staremu za pazury zalezie *(wchodzi Władysław).*

SCENA III.

WŁADYSŁAW.

Gdzie panna Klotyllda?

JAKÓB.

Jeszcze w łóżku, kawę pije, proszę jaśnie pana.

WŁADYSŁAW *(z nieukontentowaniem).*

W łóżku kawę pije? cóż znowu...

(słyhać dzwonięcie, lokaj wybiega, otwiera drzwi, wchodzi Jadwiga).

SCENA IV.

JADWIGA I WŁADYSŁAW.

JADWIGA *(podaje mu rękę).*

Dzień dobry panu.

WŁADYSŁAW.

Dzień dobry.

JADWIGA.

Czy mogę się widzieć z siostrą pana?

WŁADYSŁAW.

Jeszcze w swoim pokoju, do tęj pory nie ubrana.

JADWIGA *(zbliżając się ku sypialni Klotyldy).*

Klotyldziu! śpiochu! wychodź! już po jedenastej godzinie, a wstydźże się, któż śpi tak długo!

KLOTYLDA *(za sceną).*

Proszę tak nie krzyżeć, ubieram się, za chwilę wyjdę.

JADWIGA.

Panie Władysławie, czy wiesz pan, po co ja tu przyszedłam?

WŁADYSŁAW.

Nie wiem, ale się domysłam. Pani jesteś tak dobrą, tak zawsze zajętą tem, aby komu wyświadczyć jaką łaskę lub uczynić przyjemność, że i teraz już czytam w oczach pani jakiś projekt, który naprzód pochwalam i akceptuję:

JADWIGA *(podaje mu rękę).*

A ja za to panu serdecznie, ale bardzo serdecznie dziękuję, bo właśnie mi idzie o pana akceptacyę, a jak mi pan rękę poda, to wszystko uda się przewybornie. Rzecz jest taka: Wkrótce będą imieniny matki pana. Otóż moja mama zamierzyła na jęj cześć dać wieczór. Ułożyłyśmy sobie, że na tym wieczorze będą żywe obrazy, w których przyjąć pan zechce udział z Klotyldą.

WŁADYSŁAW.

Już projekt pani zaakceptowałem, więc teraz proszę mi tylko powiedzieć, co obrazy przedstawiać będą?

JADWIGA.

Obraz pierwszy będzie: Modlitwa.

SCENA V.

KLOTYLDA *(wchodząc).*

A dajcie pokój z temi modlitwami, nam ich już dość, od rana do wieczora, jak mniszka *(podaje jedną rękę Jadwidze a drugą bratu).* Wszystko słyślałam, coście mówili. Na modlitwę się nie zgadzam. Obrazy rzecz fatygująca. Najlepiej niech będzie komedia.

JADWIGA.

Jaka?

KLOTYLDA.

Naturalnie że francuzka.

WŁADYSŁAW.

Przewybornie. Właśnie lękałem się, żeby ci na myśl nie przyszła polszczyzna. Kiedy wszyscy powołują do zaniechania cudzoziemszczyzny, na złość mówmy tylko po francuzku, ani słowa po polsku.

KLOTYLDA.

Prymarya i kazanie! Bardzo dziękuję. Polskiej mowy mam dosyć, bo ciągle mnie nią nudzisz *(do Jadwigi).* Otóż byłoby najlepiej, żeby zamiast modlitwy przedstawić jakąś komedię, na przykład coś z czasów Ludwika XIV-go, bo tam są bogate stroje, w których pięknie prezentować się można. A w modlitwie co? salopa czarna, kapeluszek czarny, woalka czarna, książka do nabożeństwa ze stalową klamerką i oczy spuszczone ku ziemi lub wzniesione, ot tak, do góry! *(śmieje się).* Nie, nie, na modlitwę nie ma zgody.

JADWIGA *(zamysła się).*

Kiedy nie ma zgody, to muszę wrócić do mojej mamy i poradzić się z nią; a potem zaraz przyjdę do ciebie, bo nie ma chwili do stracenia.

WŁADYSŁAW.

Jeżeli pani pozwoli, to ja pojedę do mamy.

JADWIGA.

A więc niech pan jedzie,

(Władysław bierze kapeluszek do wyjścia).

KLOTYLDA.

Ale pamiętaj, żeby była komedia i stroje...

WŁADYSŁAW.

Dobrze, ale z warunkiem. Skoro nie chcesz modlitwy w obrazie, to pomodlisz się przed tym obrazem do Matki Boskiej, ażeby przemieniła raczyła twoje kaprysy i dziwactwa w rozum zdrowy (*wybiega*).

(d. c. n.)

NA ZBÓJECKIM OSTROWIU

powieść

przez **M. Zielińską.**

(Dalszy ciąg).

— Gdzież jest klasztor? — pytał Orchard, zaledwo ukrywając przestrach.

— A o, tam o!... — powiedział na pytanie Jana Hryczy syn, wskazując kępę dębów za rzeczką.

— To kłamstwo! wpadliśmy w pułapkę, klasztoru tu niema — rzekł Orchard — wracajmy do miasta, jeżeli zdołamy.

— Ej, woźnica! stał się przypadek — zawołał Jan — zapomnieliśmy jednego pakunku w zajeździe, trzeba wracać: wracaj, zapłatę weźmiesz tak samo, jakbyś do klasztoru dowiózł. Wracaj!

Woźnica podrapał się w ucho i patrzył na Hryczego syna, z którym przez całą drogę poprzednio rozmawiali mruczkliwie.

— Wracać... gdy klasztor tuż... toż się pakunek przyniesie... — rzekł, patrząc z podełba na podróżnych, którym zdawało się, że ponure drwiny przebijały w jego spojrzeniu i głosie. Jan, siedzący w powozie na przodzie, wstał nagle i chwytając lejce, zawrócił prawie w miejscu, wprost na drożynę leśną, z której dopiero co wyjechano.

— Ha, kiedy wracać to wracać. Wio — jednocześnie zawołał Hryczy syn i zniemacka wywinął potężnym swoim kijem tuż przed końmi, zawracającemi na drogę: konie zestrachane wspięły się i stając dęba następnie gwałtownie rzuciły się w tył, powóz runął w rzekę.

— Och! hola! Stój! — krzyczano, ale krzyki nie pomagały, konie szalejące, zamiast iść naprzód na niski brzeg i wyciągnąć powóz, stojący bez żadnego niebezpieczeństwa po osie w płytkiej w tem miejscu wodzie, pchały go dalej w tył w rzekę.

— Ej, dajcie mi lejce, bo wepchniecie się w prąd na głębinie! — krzyknął woźnica nie żartem przestraszony, usiłując wziąć lejce z rąk Jana, który ścisnął je jeszcze mocniej w przerażeniu..

— E, co tam gadać... ot... i już! — mruknął Hryczy syn i jednocześnie skoczywszy w wodę ku powozowi, wydobywając z za pasa ostry nóż, odciął zaprzęg i z dzikim gwizdaniem uderzył silną dłońią w grzbiet koński: koń, poczuwszy się swobodnym, skoczył na brzeg, drugi popędził za nim tak chyżo, że woźnica zaledwo zdołał skoczyć nań, chwytając się grzywy i krzycząc:

— Stój! ha! — i oba konie wraz z unoszonym woźnicą znikły, pędząc drożyną niedawno przebytą w las. Powóz stał nieruchomy na pozór, ale w rzeczywistości powoli własnym ciężarem opuszczający się ciągle w tył po pochylem dnie rzeki ku jej środkowi, drobne ale żwawe fale zaczynały już dostawać się do stóp siedzących w powozie.

— W wodę i do brzegu, póki czas, bo stacamy się w głębie! — krzyknął Jan i zeskokczył z kozła:

— Ani się rusz, albo źle będzie! — zabrzmiał z daleka głos niewidzialnego w téj chwili Hryczego syna. Ale ostrzeżenie przyszło już zapóźno, powóz zachwany gwałtownym ruchem Jana i zbywszy zarazem znacznego ciężaru, poruszył się uniesiony falami i potoczył w głębinę.

— Ratuj, kto w Boga wierzy!

— Ratuście! — zabrzmiały okrzyki rozpaczliwe, Jan, chcąc powstrzymać powóz, porwany wraz z nim poczuł wodę, zalewającą mu usta.

— No, tędy, tutaj, dawajcie rękę! — ozwał się tuż przy nim głos spokojny acz brzmiący: to młody parobek, Hryczy syn, zdążył już przybyć na łódce, którą przed chwilą widziało u brzegu, i podawał rękę Janowi. W chwilę później silne ramię parobczaka wyciągnęło się ku dwom panom, siedzącym jak martwi w powozie, który zwolna kołysząc się na fali zaczynał już posuwać się z biegiem rzeki. I stary i młody w milczeniu ani zawahali się teraz uchwycić ręki młodego rozbójnika i potulnie zajęli miejsca, na których posadził ich w łodzi. Zwolna, spokojnie, z taką swobodą i pewnością ruchów, jak gospodarz, rządzący się we własnej chacie, Hryczy syn przeniósł jeszcze z powozu do łodzi pewne pakunki, które zdawał się rozważnie wybierać na zasadzie jakości czy też ciężaru może. Potem wskazał wiosła Janowi, sam ujął inne, wyprostował się, obejmując okolice dumnym, pełnym poczucia swej siły spojrzeniem, wydał przeciągły, żalony a dźwięczny okrzyk, do głosu jakiegoś ptaka podobny i poruszył wiosło silnym ramieniem: łódka, jak rumak posłuszny hasłu, pomknęła lotem strzały.

Promienne słońce lipcowe u zenitu oblewało złotym blaskiem obszary zielone bezbrzeżne, i pędzącą ich srodkiem srebrem śpioną rzeczulkę, i dzielnego parobczaka, który stojąc prawie nieruchomy na wysmukłej, chyżo sunącej łódce, zdawał się władcą i panem otaczających go przestworów; poddana mu siła prądu unosiła go, a on czasami tylko jednym wprawnym ruchem wiosła wymijał rzeczne zawady, kierując łódką, niby prawdziwym rozpędzonym rumakiem. W każdym rysie twarzy, w każdym ruchu parobczaka objawiała się pewność siebie, dzielność i siła, czyniące go pięknym niepospolicie w téj chwili, a cisza bezdenna, maćcona jedynie szumem skrzydeł chmury ptactwa wodnego i pluskiem ryb, igrających w rzece, nadawała uroczyste jakieś, choć wół dzikie, charakterystyczne piętno temu milczącemu królowi otaczającej go przyrody. Raz tylko odwrócił się i spoglądając na drżącego Jana, który przed chwilą był w wodzie po szyję, rzekł:

— Zdejmcie siermięgę, a słońce osuszy wam grzbiet!..

Siermięgą nazwał dość wykwintny paltot, ale Jan posłuchał go natychmiast, tak jak słucać się go zdawały fale, i łódka, i ptactwo, i ryby, bo gdy w górę rękę wyciągnął, to ptaki siadały na niej, zlatując się hurmem, może oswojone, a gdy czasami nagle rękę ku falom wyciągnął, to ryby wskakiwały do łódki; on wrzucił ich parę w worek.

— Czarownik, czy co?... — myślał Jan, przypominając niewyraźnie, że istnieją w jego rodzinnym kraju na Polesiu, a właściwie na Pińszczyźnie, jakieś tajemnice między rybakami, któremi oni w pewnych warunkach umieją rozkazywać rybie.

Otoczenie i scena były w każdym razie tak niezwykle i w swoim rodzaju dziko piękne, że stary Francuz, artysta malarz po trochu, i młody Ernest, jego wychowaniec, musieli odczuć to piękno. Prerażeni i odurzeni zrazu rzeczywistym niebezpieczeństwem, dopóki siedzieli w tonącym powozie, potem podbici zupełnie siłą i spokojem ratującego ich parobka, zaczęli podziwiać jego, i jego otoczenie a pomimo całego wstrętu dla Polesia i szyderstw, jakimi obrzucali je niedawno, uczyli nareszcie, że to, na co patrzyli, było więcej niż piękne, było wspaniałe. Zachwyt jednakże trwał nie długo. Sama chyżość cudnej téj przejażdżki, wznecająca orzeźwiający pęd wietrzyka, ocuciła podróżnych, oczy ich nie mogły się teraz oderwać od parobczaka.

— Co to jest? Co się z nami dzieje? Dokąd uwozi nas ten rozbójnik, który najoczywiściej podstępem porwał nas niejako?... Cóż się stanie z Ernestem? — myślał Francuz, wnukiem zajęty przedewszystkiem.

— Jaki on musi być szczęśliwy!.. — z mimowolną, ale szczerą zazdrością myślał Ernest, mimo młodości znużony już sztucznym życiem paryżkiem, pełnym zabaw i pracy je-

dnocześnie, ale pracy nużącój, bo umysłowój tylko i nazbyt drobiazgowój i zbyt gwałtownie a w nadmiernej ilości obciążającój umysły uczniów.

— Cóż to jest za człowiek?.. jak żyję nie widziałem takiego Poleszuka... — myślał Jan, przypatrując się z profilu poprawnym rysom i wytwornej postaci parobczaka. Tymczasem myśli coraz straszniejsze opanowywały starego Francuza, aż trąciwszy Jana, rzekł:

— I cóż? Rozbójnik opanował nas podstępem, porwał i wiezie, a my siedzimy, jak malowani? Cóż to będzie? Idzie o majątek Ernesta, a w takich jak obecne okoliczności i o jego życie. Gdy dopłyniemy do zbójcekiej nory, będziemy zgubieni! Ja mu wprzód palnę w łeb!..

— Panie, nie czyn tego! — zawołał Jan, chwytając rękę Francuza, sięgającego już do kieszeni po rewolwer. — To nie może być, zkądby tu byli rozbójnicy! A przytem, jakże sobie damy radę bez niego tutaj, teraz!..

— Dziadziu, daj pokój! — jednocześnie wołał Ernest, chwytając dziada za drugą rękę i nie próbując nawet wytłómaczyć sobie, dlaczego zamiar Francuza przejmował go zgrozą jeszcze większą, niż obecne ich wszystkich położenie.

— A jak sobie damy z nim radę?.. gdy nas do swych towarzyszy zawiezie, jak baranów na rzeź? — odparł Francuz.

— Ha, będzie jeszcze można spróbować układów, okupu, jeżeliby to już koniecznie mieli być rozbójnicy — odpowiedział Jan naiwnie. Biedak ani się domyślał, jak się nietaktownie odezwał, bo jemu przedewszystkiem chodziło o życie, zarówno Ernesta jak własne, gdy tymczasem Francuz mimo wiedzy własnej dbał także i to dbał bardzo o pieniądze, o mienie, i dlatego naiwna perswazyja Jana rozniewiała go okropnie, zwłaszcza, że nie znał tak dobrze niebezpieczeństw, jakimi grożą nieświadomemu poleskie błota bez przewodnika:

— Chwyć go z tyłu za ramiona i przewróć w łódź, zwiążemy go przecież we trzech i gdziekolwiek napotkamy ludzi, którzy nam pomogą wydostać się z tego przekłętogo kraju! — rozkazał.

— A jeżeli mu nie damy rady?

— We trzech? czyś oszalał?

— Dziadziu, narażamy się na zemstę! — zawołał gwałtownie Ernest.

— A bez tego, czy nie narażamy się na nic?... — odparł Francuz, coraz bardziej upajając się własnymi obawami. — Chwyć go z tyłu, Janie!

(d. c. n)

SZARADA (Pegaz skrzydlaty).

Gdy *pierwszy* jest *drugi trzeci*,
Tam Fikałski*) nie poleci;
Wszystko utwór poetyczny,
Krótki zwykle, ale śliczny.

*) Fikałski w słynnej komedyi Bałuckiego zawsze prowadzi tańce na zabawach, ztąd nazwa ta w Warszawie bywa dawana takim zawołanym tancerzom.

Łamigłówa zgłoskowa.

(Od Młodej staruszki dla Wielkopolanki na Mazowszu).

Z następujących zgłosek: al—ar—be—bo—bor—bu—brujsk—da—dze—e—fa—gie—le—liś—ma—mouth—na—o—paz—py—rew—ron—ry—ry—sa—ta—tal—to—yar—ułożyć wyrazi: 1. Nazwisko znakomitego męża stanu angielskiego. 2. Kamień kosztowny. 3. Rodzaj poematów rzewnych i smutnych. 4. Sprzęt domowy. 5. Nazwa słynnej w historii floty. 6. Rzeka w kraju naszym. 7. Miasto i twierdza w gubernińskiej. 8. Góry w Europie. 9. Góra w Azji. 10. Opera dobrze znana. 11. Gatunek grzybów. 12. Miasto portowe w Anglii. Początkowe litery z góry na dół, a końcowe w kierunku przeciwnym, utworzą imiona i nazwiska dwóch królów polskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10 go.

Prozy i poezyi:

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty
Mury Haranu białe;
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z zachodu ściągały.

A przed Haranem na staj niewiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami, skubając ziele,
Wielbłądy w rząd się pokładły,

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące,
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli, wsparci na siodłach,
On tylko jeden stał zadumany,
I tak rozmyślał w swych modłach:

Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno,
I z powitaniem nikt nie pośpiesza,
Choć niby ludno — odladno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysięgłem przywieźć synowę,
Lecz nie poradzę — gdy łaską szczodłą
Bóg nie oświeci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech jego w nią będą rządy,
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy.

(Z melodyj biblijnych Ujejskiego początek „Rebeki).

Łamigłówa zgłoskowej:

Zero — Astrabad — Lasy Eden — Suwałki — Kule — Ingulec.
Zaleski — Odyniec.

TREŚC: Jazda na północy (z drzew.) — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a, przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Pilica, Smoleń i Ogrodzieniec p. Stanisława z Warszawy. — Biedny ptaszek, wiersz p. Gabryelę Jasięńską (z drzew.) — Klotylda, komedyjka w 4-ch obrazach p. Ignacego Poraja. — Na zbójcekim Ostrowiu, powieść p. M. Zielińską. — Łamigłówa i rozwiązania. **Dodatek.** Bajeczki babuni (z drzew.) — Żółw i zając wierszyk p. M. Ziel. — Kwaśna Florcia, opowiedziała Marya z Grabowa. — Łamigłówa i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.



Basia sierotka.

BAJECZKI BABUNI.

Basia była ubogą sierotą. Matka jej przysłała kiedyś do wsi z daleka, gdy ona jeszcze zaledwie drugi rok miała, zatrzymała się z dzieckiem w karczmie, tu zachorowała i w kilka dni umarła. Przed śmiercią oddała księdzu proboszczowi metrykę Basi i różne ważne papiery, z tych dowiedziano się, że ojciec dziewczynki wzięty był do wojska i niedawno umarł także w szpitalu.

Została więc Basia sama jedna na świecie, bez żadnej opieki. Ksiądz proboszcz przemówił tak serdecznie do kilku gospodarzy, obecnych w karczmie, że obiecali złożyć coś dla sieroty. Karczmarka niedawno dwoje własnych dzieci straciła, więc powiedziała, że przygarnie opuszczoną dziewczynkę i jak córkę będzie

ją chowała. Proboszcz pochwalił ten zamiar, a papiery Basi zabrał do siebie. Sierota została u karczmarzów.

Byli to mieszczenie dosyć zamożni, takie maleństwo niewiele potrzebowało, więc z początku Basi dobrze było pod tą opieką. Ale w parę lat przysłała na świat malutka córeczka karczmarzowej, w rok później synek i kobieta, rozmiłowana w dzieciach własnych, zupełnie dla Basi się zmieniła. Ciągłe narzekała, że obca ta dziewczyna, przybłęda, znajda, jak ją przezywała, okropnie w domu zawadza i strasznie dużo kosztuje. Choć biedna Basia w niczem nie zawadzała, dostawała tylko resztki jedzenia i w łachmanach chodziła.

Gdy dziewczynka podrosła troszkę, karczmarka zaczęła ją napędzać do roboty, kazała dźwigać drzewo, dzbanek z wodą, posługiwać sobie we wszystkim. A ile

to przytem było łajania, krzyku, poszturchiwania, bo biedactwo nie zawsze pomimo najszczerzych chęci mogło podolać temu, czego odeń wymagano. W tym wieku, kiedy inne dzieci chodzą do szkoły i uczą się, biedna Basia bardzo ciężko pracować musiała i słyszeć nieustanne skargi, że nie warta chleba kawałka, że jest próżniaczką, żebraczką, darmozjadem.

Im starsza była Basia, tem dotkliwiej czuła to nieludzkie traktowanie karczmarki. Widząc, jak ona swoje dzieci pieści, całuje, nigdy o nic nie połaje, sierota wdychała, serduszko jój ścisnęło się, myślała o tój biednej matce, której nie pamiętała, wiedziała o niej tylko, że leży w grobie na cmentarzu.

Dzieci karczmarki także za przykładem matki sieroty nie lubiły, dokuczały biedaczce rozmaitemi sposobami, biły ją nawet, szczypały, a jeżeli się poskarżyła, to matka, zamiast winnych wyłajać, Basię zwykle jeszcze wyszturczała i wykrzyczała. Biedna dziewczynina tylko ze zwierzątkami żyła w przyjaźni, kochały ją psy, koty, nawet krówka i owce ją znały i na głos jój odpowiadały.

Pewnego wieczora karczmarka bez żadnej przyczyny tak okropnie Basię wyłajała i wybiła, że dziewczynina spłakana, przestraszona, uciekła z izby i powrócić do niej nie śmiała. Poszła do obórki, wzięła małe jagniątko, żeby nie być samą, i ukryła się piwnicze, gdzie stały ogromne beczki z wódką i piwem. Przykucnęła tu na słomie, trzymając jagniątko w objęciach i zaczęła rozmyślać nad smutną swoją dolą. Znała tyle różnych dziewczynek we wsi, wszystkie miały ojców, matki, czasem ciotki i babki, ona jedna tylko nie miała nikogo, naprawdę więc chyba była przybłądą.

A gdy te smutne myśli snuły się w głowie Basi, nagle w piwnicy zrobiło się jasno, a dziewczynka ujrzała przed sobą prześliczną panią, w długiej szacie srebrzystej, w koronie złotój na głowie. Basia nic a nic się nie przelękała, bo piękna pani słodko się do niej uśmiechała, nigdy jeszcze w życiu nikt tak mile na sierotę nie patrzył.

— Biedaczko moja — rzekła wreszcie piękna pani — wiem, że jesteś bardzo nieszczęśliwa, przyszedłam ci do pomocy. Ja jestem wieszczką sprawiedliwości, chodź ze mną.

Basia zerwała się żwawo i szła za piękną panią, a gdy wyszła z piwnicy, dziewczynka usłyszała coś, jakby szelest skrzydeł i obaczyła ogromną konchę białą, mieniącą się w tęczowe barwy, unosily ją w powietrzu ponad ziemią, cztery przepyszne łabędzie śnieżnej białości. Taki blask bił od całego tego zaprzęgu, że widno było jak w dzień.

Wieszczka wsadziła Basię do swojego napowietrznego wozu i sama obok niej usiadła. Łabędzie rozwinęły skrzydła i pofrunęły. Ach! cóż to była za przyjemna jazda! Aż żal zrobiło się Basi, gdy wóz stanął i wieszczka wraz z nią wysiadła na ganku przepyszego pałacu. Tak tam wszystko lśniło od złota, srebra, drogich kamieni, że Basi w oczach się mieniło, patrzyła, ale nic dokładnie nie widziała. Piękna pani zaprowadziła ją do ślicznego pokoiku, posadziła na wygodnej kanapce, sama siadłszy obok, tak mówiła:

— Przyszła godzina sprawiedliwości na tych niedziwnych ludzi, co się tak z tobą źle obchodzili. Zaraz wydam rozkazy, mieszkanie ich będzie spalone do szczętu, cały dobytek zniszczony, a oni, jeżeli się uratują, pójdą żebrać jałmużny, bo staną się nędzarzami.

— O Boże! jakież to nieszczęście — zawołała Basia i płakać zaczęła — a czy nie możnaby zgasić tego pożaru, uratować ich?

— Jakto? — spytała wieszczka — uratować tych niedobrych ludzi, co ciebie tak męczyli? czyż ty ich złajesz?

— A jakże nie mam żałować, kiedy oni tacy będą biedni? O Boże, Boże! — i znowu wybuchnęła płaczem.

— Jeżeli nie chcesz, żebym ich ukarała — mówiła wieszczka łagodnie — to chyba nie każę już podpalać i niszczyć ich mieszkania. Ale w takim razie musisz wrócić do nich i znów cierpieć łajanie, bicie, dokuczanie. Czy chcesz tego?

— Ach! nie chcę, ale nie chcę także, ażeby oni byli tacy nieszczęśliwi.

— Musisz jednak wybierać — rzekła wieszczka — albo oni będą cierpieli, albo ty.

Basia westchnęła ciężko, wreszcie rzekła cichutko:

— To już lepiej ja wrócę do nich i pocierpię trochę, a jak wyrosnę, to się nie dam tak bić i łajać i poszukam sobie służby.

— Dobrze, poczciwe dziecko — rzekła wieszczka — ja chciałam cię tylko wypróbować, widzę, żeś wartej lepszego losu. Zostaniesz tu zemną i będziesz szczęśliwa, teraz śpij spokojnie.

To mówiąc, uściskała Basię, a ta natychmiast usnęła. Gdy przebudziła się, przetarła oczy, ze smutkiem obaczyła, że jest znów w piwnicze karczmarza i jagniątko zbudzone biega przy niej. Po chwili usłyszała gniewny głos karczmarki, która wołała u drzwi:

— Wstawaj, próżniaku, aż tam się schowałeś od roboty?

Zerwała się Basia, pomyślała sobie, że wieszczka odwiozła ją pewnie śpiącą i nie chce się nią opiekować, bo ona nie pozwoliła spalić i zniszczyć karczmy. Cóż robić, ta pani, choć piękna, musi być niedobra. Basia obejdzie się bez takiej opieki. Dziewczynka chwyciła dzbanek i chciała biedz po wodę, gdy wtem zawołano na nią:

— Mała, a wróć no się, czy to ty nazywasz się Basia Łopuszanka?

Basia odwróciła się, wójt, dobrze jój znany, stał przed karczmą i on to na nią wołał.

— A czego to pan wójt żąda? — spytała uprzejmie karczmarka.

— A to wedle tój małej sieroty, co się u was chowa — mówił wójt — przyszły papiery ważne z dalekiej strony. Stryj jój rodzony umarł, zostawił duże pieniądze, a wszystko zapisał synowicy, małej Barbarze Łopuszance.

— Duże pieniądze dla niej? — wołała karczmarka, składając ręce z podziwu i nie wiele myśląc, chwyciła Basię za głowę i czego nigdy nie było, cmoknęła ją głośno w czoło — toż pewnie te pieniądze w nasze ręce

pójdą, póki ona nie wyrośnie, boć my się nią jakby własnym dzieckiem opiekujemy.

— Nie wiem, jak tam będzie — odrzekł wójt — bo w owem pisaniu, w testamencie, stoi wyraźnie, żeby ksiądz proboszcz swoją wolą rozporządził wszystkim.

Musiła tedy karczmarka pójść z Basią do księdza proboszcza, ale choć teraz pieściła ją, całowała, obiecywała traskliwą opiekę, byle pieniądze dostać, ksiądz proboszcz wiedział, jak przedtem niegodziwie obchodziła się z sierotą. To też z jego rozporządzenia pieniądze oddano w pewne ręce, a Basię wzięła do siebie organiścina, kobieta stateczna, mająca dwie córki dorosłe, które umiały czytać, pisać, różne roboty, i sierotkę tego wszystkiego uczyły. Tam jej było tak dobrze, jak w raju i zawsze sobie myślała, że to sprawa dobrej wieszczki sprawiedliwości. Ale gdy trochę podrosła i nabrała rozsądku, dobry proboszcz jej wytłómaczył, że wieszczek żadnych czarodziejek niema na świecie, ale Opatrzność Boska czuwa nad biednymi sierotami i tymi wszystkimi, co cierpią niesprawiedliwość.

ZÓŁW I ZAJĄC.

Franio z Jasiem się spierali,
 Który z dwóch nich jest mądrzejszy?
 Choć obydwaj tacy mali,
 Że niewiedzieć, który mniejszy.

— Jam jest mędrszy — rzecze Janio,
 Bom ja uczeń pierwszej klasy!

— Tak — odpowie na to Franio,
 — Lecz w niej siedzisz długie czasy;
 Jam dziś wstępniak, prawda szczerą,
 Lecz zobaczymy, czy na długo?...
 W wstępnej człek się poniewiera,
 Póki się nie wdrapie w drugą;
 Nie jam winien temu, że mię
 Trochę późno do szkół dano;
 Lecz tyś zając, który drzemie,
 Gdy na wyścig wstał zbyt rano.

— Nie; jam zółw jest, idę wolno,
 A rozsądnie i rozumnie,
 Choć mam głowę dosyć zdolną,
 Lecz rozważa pierwszą u mnie.
 Tyś to zając, który rusza
 Z miejsca z razu jak najęty,
 Aż po chwili, dobra dusza,
 Jużci śpi przysiadłszy pięty!

Tak to chłopcy się sprzeczali
 Ilekroć się zeszli z sobą,
 A że oba byli mali,
 Więc zajęty swą osobą
 Każdy w czub nastroszy włosa,
 O wysokie dba obcasy
 I zadziera w górę nosa.
 Ten, że uczeń pierwszej klasy,
 Tamten, że jest pierwszym w swojej.
 Gdy się tak czupurzą dzieci
 I żaden się nic nie boi,

Czas tymczasem leci, leci...
 Aż nadeszły egzamina,
 Pełne wstrząśnień i emocyi,
 U chłopaków zrzęda mina,
 Nie ma żaden z nich promocyi!

Wtedy czując obaj mali,
 Że nic roku nie odkupi,
 Jednogodnie to uznali,
 Że obydwaj byli... głupi...

M. Ziel.

KWAŚNA FLORCIA.

Opowiedziała **Marya z Grabowa,**

(Dalszy ciąg).

— Ślicznie dziękuję — odzywa się ta pani — to greczny chłopczyk, wcale nie podobny do siostrzyczki, która nie ma uszanowania dla starszych osób. Czy to rodzona? bo nic nie podobna ani z postępowania, ani z twarzy?

— O nie, to cioteczna — odpowiada ciocia — ale i ona także greczna i dobrze wychowana, tylko dziś jest troszkę chora i zmęczona podróżą; od rana jesteśmy w drodze a dzień upalny, to nuży.

— A, to co innego, bo przyznam się pani, że mi się to bardzo nie podobało; to przykro widzieć dzieci opryskliwe i niegrzeczne, a ja tak lubię dzieci.

W tej chwili wyjęła ogromną torbę cukierków, drugą taką samą owoców osmażanych i ciasteczek.

— Wiozę to na podarek dla moich wnuczków, pozwólcie że was poczęstuję tymczasem; będą się cieszyły gdy im opowiem, jakich przyjemnych miałam towarzyszy podróży. Panience nie podaję — mówi, zwracając się do Florci — bo kto cierpi na ból głowy, to cukierki i słodczyce bardzo niezdrowe; doskonały byłby rumianek, ale trudno go dostać w podróży.

— Proszę pani — powiada piastunka Nozdrzewska — ja go mam z sobą, wzięłam z domu torebkę na przypadek, gdyby Wandeczka zasłała. Jest i cukier także, na przyszłej stacyi wysiądę, przyniosę gorącej wody w imbryku, to się zaparzy i Florcia się napije, bo to przykro, kiedy kogo głowa boli.

Florcia przerażona perspektywą rumianku, którego szczerze nie lubiła, siedziała strasznie zmartwiona, dzieci zaś przyjemnie rozmawiały z tą panią, która im opowiadała o swoich wnuczkach i o ładnej miejscowości którą zamieszkują. Mówiła, że matka tych panienek także się wybiera do Ciechocinka, to się poznają i zaprzyjaźnią. Tak prędko czas przeszedł, że nawet nie spostrzegły, kiedy pociąg stanął na stacyi, gdzie ta pani wysiadała.

Nozdrzewska pobiegła po wodę gorącą i wkrótce Florcia rada nie rada wypić musiała szklanek gorącego rumianku. Teraz to już naprawdę zrobiło się Florci niedobrze, położyła się z bólem głowy i tak przespała do samego Ciechocinka. Milcząca, zgnębiona, przybyła do mieszkania, które było bardzo ładne, niedaleko kąpieli, domek z balkonem obrośnięty dzikiem winem. Zaraz ją

Skrzynka do listów.

położyli do łóżka i zostawili samą, żeby mogła wypocząć. Przez noc miała czas rozważyć całe swoje postępowanie i skutki nieprzyjemne, jakie z tego wynikły.

Przyrzekła sobie w duchu dać pokój tym grymasom. Z tem dobrem postanowieniem wstała rano i tak wytrwała do południa, a choć panna Bronisława, zamiast iść obejrzeć Ciechocinek, kazała rzeczy rozpakowywać i układać w szafie, Florcia z dobrą miną tem się zejala. Po obiedzie przyszedł doktor bardzo miły i wesoły i zapytał się dzieci:

— Cóż? podobał wam się Ciechocinek?

— Jeszcześmy go dobrze nie obejrzeli — odpowiada Boles — ale tu wesoło, tak dużo dzieci. A proszę pana, czy to prawda, co mówi Florcia? Nastraszył ją jakiś pan w Warszawie, że w łazienkach trzeba pocałować starą straszną babę. Florcia tak się boi, że już nie chce się kąpać.

Doktor zaśmiał się serdecznie.

— Nie bójcie się, ja wam zapiszę takie kąpiele, gdzie nie ma stariej baby i takie wody, po których jada się pierniki.

Dzieci śmiały się razem z doktorem, ale Florcia uczuła się obrażona; rozgniewana chciała wyjść z pokoju, ale panna Bronisława na to nie pozwoliła, wróciła więc okropnie skrzywiona.

— A tój panience co takiego? — odzywa się doktor — proszę tu do mnie, cóż to nam jest?

— Nic, panie doktorze, małe grymasy — odpowiada panna Bronisława.

— Och! nie -- z płaczem woła Florcia — głowa mnie boli.

— A! główka boli, to może w skutek podróży; czy się czasem nie za dużo ciasteczek jadło w drodze?

Florci przypomniała się cała droga niezbyt wesoła, herbata w Skierniewicach, rumianek, skrzywiła się więc okropnie.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE (Gronostaj).

5 fra	2 fi	7 wy	10 ku
0 ta	9 mu	4 na	1 Tra
3 frant	12 ta	11 ran	8 ciał

Odczytać znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 10-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

B A L
A R A
L A K

Brzoza z gaiku, Kukułeczka i Ruta litewska bardzo ładne obmyśliły sobie pseudonimy; spodziewamy się, że kochane nowe korespondentki często będą pisywały i zechcą należeć do konkursów naszych.

Firletka biała na jednej karteczce napisała i łamigłówkę, i liścik, a zawsze prosimy, aby dla oszczędzenia nam kłopotu każdą rzecz, zwłaszcza liściki do innych korespondentek pisać osobno. Na ten raz się poradzi, bo taka kochana, dawna korespondentka ma swoje przywileje, ale na drugi raz niech Firletka będzie uważniejsza.

Wilk ze stepów chersońskich zasługuje na pochwałę i podziękowanie za przykładowy porządek. Liścik do redakcyi, do Koteczki i łamigłówkę napisał ślicznie, wyraźnie, a każdą rzecz na osobnej małej kartce, co jest wielkiem ułatwieniem dla nas.

Heliotropa przepraszamy bardzo za opóźnienie odpowiedzi, ale czasem uniknąć tego niepodobna. Łamigłówki dobrze ułożone, czy tylko znajdzie się miejsce na wszystkie?..

Ignotus z nad Dniepru otrzyma żądane dodatki bezpłatnie, o ile nie są wyczerpane. Zagadki bardzo dobre, niezadługo będą drukowane.

Topolka srebrna zapomniała chyba, że w roku zeszłym Kazio a w bieżącym znów Gołąbka pocztowa opisywali szczegółly, o których wiedzieć chciała. Topolka jest bardzo kochaną w naszej redakcyi i radzibyśmy ją przynajmniej z fotografii poznać, równie jak i siostrzyczki. Od takich dawnych i miłych korespondentek tak się już nam należy.

Chmurka złocista pisze dobrze, bo wyraźnie i czysto; prosimy, żeby o nas nie zapominała.

Zręczny zajaczek przysłał szaradę bardzo ładną, ale o zadaniach konikowych widocznie wyobrażenia nie ma, bo zgłoski muszą iść po sobie w pewnym porządku, jak konik na szachownicy, ztąd nazwa tych łamigłówek pochodzi.

Lilijka z nad Horynki musi się zgodzić z koniecznością. Gdyby to było w naszej mocy, chętnie dogadzalibyśmy wszystkim i nie odwekalibyśmy ani chwili z drukowaniem odpowiedzi i liścików.

Jaskółkę z nad Sekwany prosimy, ażeby nam tę śliczną zabawę opisała. Nad Sekwaną zapewne rzadko się coś podobnego widuje.

Kochana Koteczko biała! Posyłam tobie łamigłówkę do rozwiązania. Domyslałem się, że jesteś Janinka Wik, masz dwie siostrzyczki i braciszka. Odpisz mi czy mój domysł prawdziwy. Po zdrowiam was wszystkie. Wilk ze stepów Chersońskich.

Kochana Czarnuszko! Życzę ci żebyś była szczęśliwą i wesołą. Twoja Myszka domowa.

Kochana Czarnuszko z Mroczkowa! Choć tak daleko ode mnie mieszkasz, jednak za pośrednictwem „Wieczorów” przesyłam ci życzenia wszystkiego dobrego w dniu twych imienin i posyłam ci zagadkę dla ciebie ułożoną. Twoja Firletka biała.

Kochana Bułanko. Bardzo podobałaś mi się z opisu ja lubię bardzo konie, mam gniadego kuca. Czy lubisz jeździć konno? Ja bardzo. Mam lat tyle co ty, nazywam się Cesia, mam trzy siostry, jednego brata zagranicą, mieszkam na wsi 4 mile od Warszawy. Odpisz mi prędko. Twoja Szarża.

OD REDAKCYI. Takie mnóstwo liścików nadeszło w tym tygodniu, że wydrukowanie ich zajęłoby cały N-r. Pisemka, więc przepraszając serdecznie kochanych korespondentów, zaznaczymy tu tylko, iż liściki pisali: Staś do Kaliny z nad Niemna, Truskaweczka ananasowa do Iskierki z Siedlec, Biały Szczurek do Bułeczki z masłem, Topolka srebrna do Cyganeczki z nad Wisły, Szarżka z nad Moroczku do Halki z Litwy, Lilijka z nad Horynki do Niezapominajki z nad Horynia, Wajdelotka do Konwalijki, Gałązka do Bzu białego do Szarotki z Zakopanego, Żubr do Pegaza skrzydlatego, Szmetanka do Amazonki, Niezapominajka z Polesia do Dębki poleskiego, Lilijka niebieska do Zręcznego zajaczka, Detyna do Kalinki, Smółka do Pajączka, Pegaz skrzydlaty do Mikada i Mazurki, Mazurka z nad Narwi do Córy Mazurów, Owieczka do Piguleczki, Porzeczka czarna z nad Bystrzycy do Wiejskiej dziewczeczki.